Ner 14. Kraków, 9go Kwietnia. 1861.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować i adresować do Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Teatr i Wychowanie.

Nadmieniliśmy wyżej (nr 12), o ile młodzież doroślejsza męzka i żeńska i pod jakiemi warunkami teatr odwiedzać powinna, a raczej chcieliśmy przynajmniej w ogólnych uwagach wskazać jakim czynnikiem w wychowaniu teatr być może. Zostaje nam jeszcze jedna warstwa młodzieży, o której względnie do teatru wspomnieć zamierzam. Mam tu na myśli podrostki męzkie i żeńskie, chłopców i dziewczątka, dzieci bądźto w domu rodzicielskim jeszcze bąki zbijające, bądź oddane już na pensye, a wreszcie uczniów szkół tak zwanych *normalnych*, czyli jak je powszechnie nazywają *niemieckich*, tudzież uczniów szkół realnych i gimnazyalnych niższych.

Nie wchodzę tu już w one sztuki w cale albo trochę niestosowne, tylko powiem wprost, że dla tej kategoryi istòt ludzkich, czyli zawiązków na kandydatów na ludzi, każda, chociażby najlepsza sztuka, jest niestosowną. Może to kogo zadziwi, że się bezwzględnie przeciw wszelkim chociażby najmoralniejszym i najznakomitszym sztukom oświadczam; może mi nawet kto zarzucić, że wykluczam jeden i to ważny środek działania na serce i umysł dziecka, bo, jeśli sztuka jest moralną, czyż nie jest z korzyścią dzieci aby doznały wrażenia potęg moralnych i to w tym wieku, w którym wrażenia najsilniej w duszę wnikają tak, że do grobowej deski pozostaną niezatarte; równie rzecz się ma i z wrażeniami estetycznemi. Zdawałoby się więc korzystnem nastręczać dzieciom takich sposobności, w których podobnych wrażeń i wpływów doświadczać mogą. Odpowiem na to, że ta i jej podobne uwagi tu i owdzie podnoszone, pozorem tylko łudzą, ale w istocie rzeczy niepopierają. Wiem o wrażeniach, jakie dobre przedstawienia sceniczne sprawiają. Widziałem nieraz całą publiczność rzewnie płaczącą; czytałem gdzieś nawet, że jakiś młody człowiek po przedstawieniu sztuki, której życie karciarza było treścią, artyście, po mistrzowsku grającemu szulera, publicznie podziękował jako lekarzowi, który go wyleczył z okropnej namiętności, i że nadal ów były szuler stał się dobrym synem, mężem, etcetera — ale to wszystko jeszcze nie stanowi dowodu w naszej sprawie; mamy bowiem do czynienia z dziećmi. Należy więc postawić sprawę w mowie będącą z innej strony, zapytując: czy przedstawienie sceniczne, chociażby najmoralniejsze jest środkiem odpowiednim rozbudzania uczuć moralnych i szlachetnych w sercach dziecinnych? Wszak wiemy, że uczeniem się pięknych wierszów kształci się dusza dziecięcia, ale któżby zamiast bajek Jachowicza lub powiastek i lekkich balad, kazał się dorostkom uczyć Dziadów, albo Walenroda, albo chłopcu niemieckiemu klopstokowej Mesyady? Wszak wiemy, że wielu mężów świętych najtwardszemi i najtrudniejszemi środkami dobijało się doskonałości i świętości, ale któżby, chociażby dziecku swemu życzył największej doskonałości, wkładał od razu na jego nieudolne siły to wszystko, co dopiero dojrzali i wyćwiczeni asceci ponosili? Wszak nauki kościelne i kazania zawsze w sobie prawdę zawierają—a czy każde kazanie, chociaż najmoralniejsze i prawdą najpotężniejsze, stosowne dla każdego wieku? A biblia sama, ta księga ksiąg, ten zdrój wiecznej mądrości, czyż nie wymaga dojrzałego już czytelnika? czy może także dzieciom uczynimy ją w całej rozciągłości przystępną? Każdy wiek ma swe prawa, a więc i środki, jakiemi nań działać należy, będą według tych praw rozmaite. Chodzi o moralność dzieci, to najlepszym jej nauczycielem jest w domu matka, a w szkole ksiądz katecheta. Chodzi o wrażenia, to najlepszym teatrem a raczej przedstawieniem, które wrażeniami serce i umysł dziecka na zawsze zająć winno, wypisując się niezatartemi głoskami w duszę, to życie cnotliwe, zgodne, ciepłem i grozą miłości rodzinnej owiane, słowem pod każdym względem przykładne życie rodziców, domowników, a w szkole nauczycieli, w ogóle tych wszystkich, co chwiejną dziecinę otaczają. Ta powaga, wynikłość, uroczość, czystość i świętość życia domowego, to najsilniejszy wpływ na umysł i serce dziecka; a nawet i tu wszystko, co jest, że tak powiem dramatyczniejszej natury w życiu domowem n. p. jakieś nieporozumienia rodziców lub wzajemne uwagi, jakie sobie czasem robić muszą i t. p., usuniętem być winno z pod oka i uwagi dzieci. Dla tego szczęśliwi ci bardzo, którzy, chociaż pod swem okiem, jednak zarazem oddzielnie umieściwszy dzieci chować mogą tak, żeby się nie kręciły zawsze w każdem zebraniu i towarzystwie w domu rodziców się zejdującem. A kogo na taki rozkład domu nie stać, uważać powinien, aby w obec dzieci zachował się zawsze na wysokości powagi ojca lub matki, a przyjaciół i znajomych w ogóle, odwiedzających dom, prosić i poniekąd zniewolić powinien, aby mieli wzgląd winny i szacunek dla wieku niewinnego dzieci.

Otóż, wracając do właściwego założenia, raz jeszcze powtarzam: *teatr wcale nie dla dzieci.* Wszak i w najmoralniejszej sztuce najmoralniejszy bohatyr, jako człowiek, w rozlicznych zostaje stosunkach, przez najrozmaitsze przebijać się musi sytuacye, tysiączne nastręczają mu się trudności, przeciwieństwa i kolizye, z których dopiero siłą własną wybrnąć potrzeba, jeśli ma stać się bohatyrem dramatycznym w ścisłem znaczeniu słowa. Najmoralniejszy Józef egipski oparł się; ale przecież był kuszony przez żonę Putyfarową. Pocóż więc mają te walki, te burze miotające duszą bohatyrów odbijać się w wątłym nastroju psychicznym dziecka i wywołać zawczasu żywioły z uśpienia, które jeszcze dłu-

go niewzruszone spoczywać powinny? A powie kto może: dziecko niekoniecznie w rzeczy przedstawionej bierze udział, powiększej części jej nie rozumie, wszak często zasypiają dzieci podczas przedstawienia; bawią je jedynie śpiewki, stroje, dekoracye i tym podobne zewnętrzne przybory. I w takim razie pogląd fałszywy, bo dziecko nigdy nie powinno tego słuchać, czego nie rozumie i rozumieć nie może, a jeśli się nudzi i zasypia, to lepiej je zostawić w domu, a w łóżeczku wyspi się daleko lepiej. Tymczasem z tem jego nierozumieniem nie tak się rzecz ma w istocie; lada wyrostek bardzo jest ciekawy, a to, czego nie rozumie, bardziej go zajmuje i sam na tysiączne wpada domysły; a niebezpieczna ta ciekawość podobna do onej, co to przywiodła do skosztowania z drzewa zakazanego.

Do tego ma jeszcze odwiedzanie teatru i inne dla tej młodszej warstwy młodzieży nie koniecznie korzystne strony. W naszych teatrach, a rozumiem tu krakowski i lwowski, bo warszawskich nieznam, czepiła się była młodzieży, od wyrostków począwszy, jakaś mania strojenia się i wygodnictwa; choroba, która podziśdzień jeszcze zupełnie nie ustała. Dziecinki lub młodzieńcy o zdrowych zupełnie nogach w teatrze koniecznie siedzieć musieli, a właściwie nie chodziło im tyle o siedzenie, ile raczej o pokazanie się z miejsca, z któregoby bardziej byli na widoku publicznym. Zamało więc im było mieć miejsce na krzesłach, koniecznie musieli mieć lożę. Wymuskani, w glansowanych, jasnych rękawiczkach z dwururnemi lornetami w ręku, z głowami jakby w baranie lub pudle loki przystrojonemi. — Na jednej lwowskiej pensyi, wyłącznie *adhoc* najęty jest fryzyer, który co rano cywilizuje a przynajmniej cywilizował głowy elewów—i przedstawiała rzeczywiście zajmujący widok ta pensya błazenków i błaznów *comme il faut* — zasiadały te bezwąse młodziki balkony i loże, rozpierając się w nich dowolnie, jakby prócz nich nikogo starszego w teatrze nie było. A nieraz zdarzało mi się widzieć jak wtenczas, kiedy synek gagatek rozpierał się w loży pierwszego piętra, ojciec biedny ale... mówiąc delikatnie *dobroduszny*, podpierał słup parterowy, a bywali w tem nierzadko i synowie mniej zamożnych rodziców, tak że finansista zastanawiający się nad stosunkiem przychodów do rozchodów, mógłby rzeczywiście znaleść się w kłopocie. To pewna, że żaden z owych lwów a raczej.... ale zamilczeć wolę — teatralnych sam na siebie jeszcze nie zarabiał; kochani więc papostwo, a najczęściej mama, kochająca miłością ślepą, bezrozumną swojego gagatka, dostarczała, o ile mogła, samą siebie i męża i nieraz swą przyszłość tym sposobem podkopując. A czy to nie grzech wielki w obec Boga, narodu i samych nawet dzieci. Ale o tem pomówimy obszerniej na innem miejscu, a tymczasem wracam do teatru. *Dzieci wyrostki, niech będą dziećmi!* Na widowni publicznej wcale występować nie mają i nie powinne, a najobszerniejszą sceną powinien dla nich być egzamen publiczny w amfiteatrze nowodworskim, lub innej do tego przyznaczonej sali — albo piłka na błoniach, a zresztą dom i basta! I o młodzieży mianowicie szkolnej to można zastósować, co przysłowie mówi o kobietach: że młodzieniec, a tem bardziej chłopiec, lepszy czem mniej o nim publicznie mówią. — Chłopiec więc wyrostek, w ogóle jeszcze uczeń chodzący do szkoły, o tyle, ile można, na widowni publicznej niech nie występuje, bo, raz puszczony, rwie się wszędzie i jeśli nie góruje, to przynajmniej swoje trzy grosze wściubić musi. Jak się przyzwyczai, rozwarłszy wróbli pyszczek z całego gardła krzyczeć wywołując artystę, to i gdzie indziej zechce swój sąd absolutnie wygłaszać; zacznie mu więc najpierw niepodobać się korepetytor, potem pan profesor i dyrektor, a w końcu nawet papa i mama. A dotego jeśli go, a właściwie nogi jego w karnawał w ten i ów dom na tańcujący wieczór, gdzie jako skończony uczeń pana X..... robił furory, a w figurze nawet swego profesora, którego na dziecinny wieczorek zaproszono, poprawił, a potem wypił potężnie pana profesora zdrowie, a nawet *milaresem* go poczęstował, to naówczas bądź zdrów, a o książce lub rejsbrecie może mu tylko wspomnieć jakiś człowiek, co wcale nie wie, co się w Europie dzieje; a tymczasem skończony nasz dwunasto-piętnastoletni bohatyr włóczy się dzień cały po południowej stronie rynku jak błędny rycerz nowszych czasów. Początkom zapobiegaj — a kuj żelazo pokąd rozpalone — jak zastygnie to rzecz skończona! Polecamy więc tę sprawę sumiennym rodzicom; jest ona na pozór mała, ale kilka takich małych skupi się w jednę wielką, jak kuleczki śniegu łączą się powoli w ogromne bałwany — a przecież rodzicom kochającym swe dzieci, krajowi i narodowi chodzi o co innego; bałwanów nam niepotrzeba, któreby bezwładnością a ciężkością masy ciężyły na naszej ziemi, i przygniatały, a przynajmniej zawadzały swobodnemu polotowi myśli narodowej i dążeniom do tych wysokich celów, do których Bóg powołuje i wiedzie narody, ale nie bez ich współdziałania. A niestety takich małych na pozór słabości i słabostek, które pobłażamy dzieciom naszym, jest co nie miara! Dalsze numera *Niewiasty* dostarczą nam sposobności pomówienia o nich szczegółowo; a tymczasem jednę z nich poleca sumiennym rodzicom kochający młódź naszą, przyjaciel i ojciec.

MARYNA MNISZCHÓWNA.

I.

Bardzo to bolesna dla nas epoka w dziejach, w której imię Maryny Mniszchówny, nabrało rozgłosu w całej Europie. Słabego a uparty charakteru Zygmunt III, siadłszy na osieroconym przez dzielnego Stefana tronie, nie umiał utrzymać w kraju ani zgody, ani swobody; nie umiał uspokoić licznych nieprzyjaciół, Polskę ustawicznie szarpiących; nie umiał utrzymać karności między poddanemi, z których jedni uznawali królami swych panów, u których byli w służbie, a drudzy o szczęście ojczyzny się nietroszcząc, swobodnie w majętnościach swoich przesiadywali. Opatrzność wprawdzie, naród Polski, mając jeszcze w swej opiece, udzielała mu pod tem niedołężnem panowaniem Szweda znakomitych mężów, męztwem i rozumem celujących, kiedy jednakże i ci krwi polskiej oszczędzić nie mogli, ciężko było i smutno w biednej Polsce. Zamojski, Żółkiewski, Chodkiewicz, to są trzej wielcy mężowie, swym orężem, dzielnością i rozumem podtrzymujący drogą sobie ojczyznę od ostatniego upadku. Zatargi z Maxymilianem o koronę, wojna ze Szwecyą i Inflantami, szkodliwy wpływ, pod pozorem katolicyzmu, zdradnie działających Jezuitów, wreszcie okropna i niegodziwa wojna domowa Zebrzydowskiego — oto główniejsze rysy tej epoki, w której na scenie dziejowej naszego kraju Maryna Mniszchówna odgrywa swoją tragiczną rolę. Każdy, przeglądając karty owej bolesnej epoki, dostrzegłszy, iż w poczet imion Polsce wielce szkodzących — wliczoną została i ta zacnego domu i znakomitego rodu córa, zadziwi się zapewne, czemu przeznaczenie tak dziwne wplotło jej życia koleje — czemu w swej rodzinnej ziemi ten kwiat, tak

pięknie na niej urosły, nie rozkwitł do pełni życia — czemu, gdzieś obcych szukając Bogów, swoją pogardziła ojczyzną? I pozna każdy, gdy się lepiej swym dziejom przypatrzy, iż tego wszystkiego przyczyną była tylko *prywata*, wiecznie i wszędzie zgubę krajowi gotująca, którąbym rad nawet zdradą ojczyzny nazywał. Widoki osobiste i zyski, podsycane dumą, nigdy w swych żądzach zaspokoić się nie dającą, gaszą w sercu każdego człowieka ten święty ogień miłości ojczyzny, któremu wszystkie żądze nasze, wszystkie namiętności, więc w ogóle wszelką prywatę poświęcić winniśmy. Im hołdując, stajemy się wyrodnemi synami, dobro ojczyzny nie obchodzi nas zupełnie, i wtedy do nas właśnie stosują się prawdziwie owe groźne proroctwa świątobliwego księdza Piotra Skargi, które był w obec króla do niezgodnych i waśniących się synów Polski powiedział: „Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu, i we wszystkiem niedostatku. I włożą jarzmo na szyje wasze, przeto iżeście niesłużyli Panu Bogu swemu". A nie służy ten zaiste Panu Bogu, kto Jego prawo znieważa, kto swej ojczyzny nie miłuje, kto dobro osobiste stawia na przedzie celów życia i zabiegów swoich. Bolesna więc to scena z dramatu naszych dziejów, tak świetnych, tak wielkich gdzieindziej, w której słaby i łatwo dający się dla tego oszukać monarcha ulega namowom i radom, niegodziwe, bo osobiste na celu widoki mających, w której ów nad złota wynalezieniem niepokojący się Zygmunt dla sprawy moskiewskiej synów swej ojczyzny poświęca.

Za nim więc do opowiadania o samej Marynie przystąpimy musimy tu pokrótce przytoczyć te wszystkie okoliczności, które ją z domowego zacisza, z najdroższej każdemu rodzinnej ziemi powołały na tak wysokie stanowisko, jakiem jest tron carycy moskiewskiej...

II.

Po śmierci Iwana Groźnego, zwanego u postronnych okrutnym, na tron moskiewski nastąpił starszy z synów, ale niedołężny Fiedor Iwanowicz r. 1584 *). Słaby na umyśle i ciele, cały oddany pobożności cerkiewnej, zdał ochoczo ciężar panowania na szwagra swego Borysa Fiedorowicza Godunowa (Godenof), brata Ireny żony swojej. Ten zasmakowawszy w rządach carskich postanowił je przy sobie zatrzymać aż do śmierci, jako też prawem dziedzictwa na swych przelać potomków. W tym też celu oddala od dworu wszystkich przychylnych rodzinie Ruryków, jako to: Szujskich, Mścisławskich, Nagich, Romanowiczów, i układa haniebny plan zniszczenia ostatniej latorośli szczepu panującego, którą był młodszy brat Fiedora, Dymitr. Nasi i moskiewscy kronikarze bardzo rozmaicie dopełnienie tej zbrodni opisują; że zaś fakt ten ma być, i jest najważniejszą podstawą dalszego rozwoju naszej rozprawki, sądzę, iż zbytecznem tu nie będzie, przytoczyć cały opis Towiańskiego, naocznego świadka zbrodni, któremu też prawie wszyscy historycy nasi, a mianowicie Niemcewicz, najwięcej dają wiary. "Używał Gudenof, mówi ten Towiański, który był szlachcicem żmudzkim, wszystkich sposobów by Dymitrowi życie odebrać, a gdy datkiem i obietnicami zapewnił sobie dworzan otaczających carewicza, ci usługi mu swoje w tym niecnym przyrzekając czynie, zapewnili, iż trudno im będzie powierzone wykonać dzieło bez wciągnienia w nie Symona, Niemca, biegłego lekarza, który się był wielce i u cara Iwana, ojca panującego, zasłużył, i młodego Dymitra całą ufność posiadał. Przywołany do Moskwy lekarz, (z Uhlecza; bo tam odwieziono wdowę po Iwanie wraz z Dymitrem), stawa przed Gudenofem; osłupiał sędziwy starzec na uczynione sobie przedłożenie, bacząc atoli, iż odrzucając je, i własny żywot wystawiłby na sztych, i nie ocalił życia Dymitra, acz nieprawem sercem, zezwolił. Dzień przeznaczony do mordu, już nie był dalekim, zbierali się w Uhleczu najęci siepacze, jął więc lekarz przygotowywać młodego Dymitra do ciosu, który go czekał, a raczej do fortelu, jakim go od niechybnego zgonu wyrwać zamyślał. „Z przeznaczenia bożego, mawiał mu, wielkie kłopoty, prześladowania, nędze, srogie niebezpieczeństwa przypuszczane bywają na tych, co do berła stworzeni. Dymitruszku, gdyby na ciebie, strzeż Boże, podobne przyszły, umiałżebyś wytrzymać je?" — „Coby tylko Bóg dopuścił na mnie, odpowiedział młody Dymitr, mężnie wszystko wytrzymam, bo kogo Bóg dotyka, temu i cierpliwość daje." — „Zachowasz-że tajemnicę, przydał lekarz, od której i twoje i moje życie zawisło, a powiem ci wierne słowo." Tu gdy młody książę przyrzekł mu świątobliwie, że zamilczy: „Oto, rzekł mu lekarz, za zdradą Gudenofa, tej nocy masz być zamordowanym, lecz nie trwóż się, słuchaj mię, a Bóg cię wybawi. Zważ pilnie, co ci powiadam, życie twe od wykonania moich zleceń zawisło. Skoro tylko zmierzch padnie, zamień bogatą twą koszulę z rowiennikiem twoim Siemionką, połóż go przy sobie w łóżku twojem, a skoro ujrzysz, że uśnie, okryj go kosztowną szubą swoją, a sam po cichu wstań i schowaj się za komin, choćbyś potem najokropniejsze widział i słyszał rzeczy, choćby matka twoja caryca przyszła z płaczem i lamentem wielkim, zachowaj się spokojnie tak długo, aż przyjdę do ciebie." (Wiedząc jak w Moskwie traktowano poddanych czyli niewolników, łatwo uwierzyć, iż czyn taki udać się mógł, choćby i samej matce Dymitra, jak to znowu donosi Iwan Nestesuranoj). Uczynił Dymitr wszystko, jak mu powiedzianem było, z Siemionką rówiennikiem i podobnym do siebie zamienił odzież, i uspiwszy go, skrył się w przestwór za kominem będący. Dwie świece gorzały w komnacie. O samej północy usłyszał drzwi odmykające się powoli, i dwóch zbójców na palcach przez nie. Dreszcz śmiertelny przebiegł kości młodego książęcia; jeden z zbójców przy słabem świetle promienia przybliżył się do łóżka; pomieszany zbrodnią samą, zwiedziony ubiorem i podobieństwem, przerznął gardło niewinnego pacholęcia, szpetnie twarz poranił i natychmiast z towarzyszem swoim wyszedł z pośpiechem. Przed świtem, gdy dzwoniono na jutrznią, a carewicz podług zwyczaju nie przyszedł, jeden z pokojowych niewiedzący o niczem, gdy przychodzi do łóżka i budzi, wstąpił w krew, potokiem z zarzniętego płynącą, a zląkłszy się, zawołał przeraźliwym głosem, że carewicz zarznięty. Snadnie każdy wystawi sobie, jaki padł na wszystkich strach, pomieszanie i rozruch. Uderzono na gwałt we wszystkie dzwony, zbiegło się pospólstwo poruszone żalem; nie wiedząc kto był rzetelnym zabójcą, nie tylko zdrajców, ale wszystkich, co byli przy carewiczu pozabijało; zginęło ich tej nocy do kilkudziesiąt, co było wielce na rękę Gudenofowi, dla tego najbardziej, że przenajęci morderce, już po śmierci zdrady jego wyjawić nie mogli. Gdy się już wszystko uspokoiło, lekarz Symon upatrzył dogodną porę uprowadzenia carewicza z miejsca ukrycia jego.

(C. d. n.)

---

*) Najstarszy Iwan, zabity był kijem żelaznym od ojca

O MUZYCE

Józefa Dra Kremera

prof. przy Wszechnicy Jagiellońskiej.

(Dalszy ciąg).

Malarstwo o tyle jedynie ulega rzeczywistej przestrzeni, o ile uwzględnia wymiary samego obrazu swojego; samo jednak dzieło malowane, ujęte w granicach obrazu, jest wolne i wyswobodzone od tych rzeczywistych wymiarów, bo ma własne oddalenie swoje (perspektywę), własne wymiary, skrócenia, a tak stwarza własne idealne zmyślone przestrzenie; obraz ma i własne światła i cienie swoje, własne oświecenie idealne; a ciężkość, ta zupełnie znikła, bo przedmioty malowane nie ważą — została sama ciężkość zewnętrzna: płótna i farb. A cóż dopiero dzieje się z muzyką! — Ona jest sztuką nad wszystkie sztuki dla chrześciańskiego świata. Tu ulotniła się przestrzeń, rozpłynęła się tchem materya; ze wszystkiej materyi zostało jedynie drganie powietrzne, niewidzialne, rozpływające się falą dźwięku. A jak uczucia, myśli, wizerunki niewidome fantazyi, radości i trwogi, nadzieje i tęsknoty, słowem wszystkie dzieje wewnętrzne duszy rodzą się i przepływają w czasie, tak też i muzyki tony, jej akordy i jej melodye i harmonie ulatują w czasie, do wiekuistości się unosząc. W muzyce historya wewnętrzna ducha i jego przeznaczenie, jego wróżby i przeczucia ubierają się w dźwięki, w niej duch słyszy samego siebie, słyszy własne zachwycenie, zachwycenie swoje, widzi siebie w chórze aniołów, czuje jak mu wyrastają skrzydła promienne Cherubinów, a te skrzydła, z harmonij i tonów złożone, unoszą go w niebo na rozcież otwarte. Spadły zwłoki materyi. Poniżej — na dole, na ziemi została materya i ciężkość jej, a barwy jej, światła i cienie przygasły — umarły *).

Tak muzyka, jako sztuka odnosząca się najwięcej do wnętrza człowieka, idealna, duchowa, uznaną została przez świat chrześciański za sztukę zrodzoną z własnej krwi, własnego ciała jego, bo świat chrześciański także żyje życiem wewnętrznem, idealnem, duchowem. Człowiek, krzyżem na świat wychrzczony, słysząc proroki wiekuiste w wyroczni serca swojego, tonąc we własnym duchu swoim, wróżbom wewnętrznym, tajemniczym dał posłuchanie; on słysząc muzykę Bożą, brzmiącą w sercu jego, party był niewymownem rozrzewnieniem, aby treści ducha swojego, będącej nieskończoności odgłosem nadał ciało i wyraził ją tonami muzyki zewnętrznej, doczesnej.

A jak w historyi powszechnej uczucie siebie, uczucie własnej osobniczej indywidualności, mogło dopiero pojawić się na łonie wiary chrześciańskiej, co uświęciła głębokie znaczenie i ogromną wagę każdego pojedyńczego człowieka, tak też muzyka, owa sztuka od uczuć chrześciańskich wybrana i najwyżej ukochana, jest właśnie sztuką, która najbardziej jest stósowną dla wyrażenia osobniczej indywidualności każdego człowieka, różniącej go od wszystkich innych ludzi. Bo w muzyce, więcej niż w którejkolwiek innej sztuce, mienią się barwą właściwą uczucia i myśli i tęsknoty wewnętrznej treści naszej. A jak ten kontrapunkt, będący duszą chrześciańskiej muzyki, zestraja dźwięki i tony różne, i odwrotne w jedność harmonii, tak serce, przepełnione wiarą, zlewa w akordy dźwięki doczesne i wiekuiste, tony niebios i ziemi, śmierci i zmartwychwstania; tak ślubem świętym łączy osobniczą, indywidualną cechę, pojedyńcze piętno każdego człowieka z prawdami, które są zakonem wszech-duchów, i które im Bóg napisał przed światów stworzeniem.

Człowiek muzyką niedosłyszaną serca swojego rozmawia z Bożą miłością na dźwięki, na tony; i nawzajem harmonia światów, gra wieczności, ma wtórowanie swoje w sercu znikomego człowieka; bo on sam jest dźwiękiem, który rodzi się na ziemi, na grobach, na mogiłach, a płynie falą melodyi przez wieczność — przez wieczność całą, pod boży tron.

Nie dziwmy się tedy już, zkąd się bierze ów instynkt nowożytnych czasów, co tak potężnie ciągnie serca wszystkie do muzyki. Wszak w zawiązkach wiary, srogie ciemiężce, barbarzyńce surowe stopniały, gdy o ich serca uderzyły pieśni pierwszych chrześcian, pełne uczucia i tkliwości rzewnej. Więc rosła i rosła ta muzyka, ta wiary zbawczej córa.

W wiekach średnich, obok piosenek światowych i śpiewów kościelnych, zradzają się pierwsze początki kontrapunktu, a w szesnastem stuleciu rozkwitła odrodzona (?) muzyka w całym uroku i wdzięku. Anioł muzyki siał po ziemi, jakby gwiazdy niebiańskie, geniusze muzykalne, co świeciły i sobie i światu na chwałę: aż czas nam spółczesny, jakby powiewem wiosennym tchnąwszy po sercach wszystkich, rozbudził je muzyką, a ochota do niej puściła się w tysiącznych sercach, jak się puszczają tysiączne kwiaty po polach, po łąkach, co nie sadzone, nie siane, kwitną kobiercem niezliczonych barw. Ta miłość do muzyki nie jest modą, bo ona choć pewnie nabierze innych a innych form, przecież już nie przeminie nigdy i na zawsze pozostanie z nami na ziemi.

Jeżeli atoli jest prawdą, że w najgłębszych toniach serca, i w historyi ludzkiego rodu śledzić nam wypada tej przeważającej skłonności naszej do muzyki, jeżeli się przekonywamy, że ta ochota nasza do tej sztuki właśnie rodzi się z uczuć wlanych nam w serca przez wiarę chrześciańską, więc już nie trudno wyjaśnić i znaczenie prawdziwe muzyki dla nas. Widać, że ona iście ważnym czynnikiem w chrześciańskiem wychowaniu. Ale tem samem znać już, że jej rzeczywistem przeznaczeniem być powinno, aby rozrzewniała uczucia, przejmowała serce zacnością, tem co wielkie i szlachetne; by kąpała duszę w krynicy przeczystej tonów, by ją umocniała niewinnością nieskalaną tak, by do duszy nie miało już przystępu to, co małe i niegodne, co żądzą brudną skażone. W tem znaczeniu pojęta muzyka obudzi sprzymierzeńca wychowania w samem sercu młodem, sprzymierzeńca, który ułatwi sprawę wykształcenia moralnego. Łatwo zgadnąć, jaki rodzaj muzyki odpowie wielkiemu jej znaczeniu.

Widzimy tedy, że nie popisywanie się błyskotne, tumaniące, jest celem tej sztuki z nieba zrodzonej; widzimy, że już bynajmniej o to nie chodzi, by ją koniecznie doprowadzić do mistrzostwa w wykonywaniu przetrudnych muzycznych kompozycyj; boć właśnie takowe kompozycye nie zawsze (a może nawet rzadko), należą do tych, które najsilniej i najrzewniej przemawiają do duszy prorocząc jej o tem, co zacne i wzniosłe w uczuciach człowieka. Tem mniej atoli zdaje się być stósowną ta przerażająca dziś ochota do muzyki tańców, która zaprawdę w niektórych rodzinach tak się zagęściła, że już krom niej rzadko inną jaką posłyszysz. Ta nowoczesna zapamiętała ochota do tej muzyki tak

---

*) Niema tutaj po co obszerniej się rozwodzić nad istotą muzyki i stosunkiem jej do innych sztuk, boby mi przyszło powtórzyć to, co w Listach z Krakowa powiedziałem, mianowicie w Liście XXXVIII. Tam tedy odsyłam czytelnika.

się rozszerzyła, że kąkolem, chwastem przydusiła myśl do muzyki głębszej, treściwszej; wszak ta wietrznica, wstąpiwszy na kościelne chóry, odzywa się wśród uroczystości nabożeństwa. Trudno nam przypuścić, aby nadużycie takowe przeszło bez znaku, aby muzyka ta pusta i płytka, stawszy się nieustającą towarzyszką młodzieży, nie odchuchała jej serca, zwłaszcza dziewic młodych.

Mówię atoli jedynie o nadużyciu! bo jestem tego przekonania, że tańce i im właściwa muzyka tak wypływają z najgłębszej istoty człowieka, jak płacz, jak boleść, jak nadzieja i radość jego. Ba! przyznaję się nawet do tej wiary, że rzadko i jedynie za osobliwą łaską Bożą się zdarza, aby młodość, smętnie i bezradośnie spędzona, nie odezwała się później charakterem nieużytym, jałowym i samolubstwem w sobie zamkniętem. Jestem najmocniejszego zdania, że człowiek, który się ani serdecznie śmiać, ani z całej duszy bawić nie umie, pewnie najczęściej także nikogo krom siebie samego kochać nie zdolny?

Wypada nam się żalić, że się już dziś bawić od serca nie umieją; a jakże im się bawić? skorupa na duszy, uczucia sztywne jakby jasełka na drutach, a krew zimna niby u gadów — ale za to pretensyj i wymagań co niemiara. Czas dzisiejszy, o zmarszczonem bezochotnem sercu, ciska się w taniec jakby w desperacyi, i nie chodzi mu o zabawę, lecz o przechodni szał upojenia. Ztąd też zaledwie muzyka się przerwie, znów wszyscy skrzepli jakby pośmiertne Piotrowiny! Zazdrość nas bierze, gdy od starych słyszymy, jak się starsi od nich niegdyś bawili, jak się to oni umieli lada czem ucieszyć, jak mało im trzeba było do serdecznej ochoty. Prawda, że to i owo(?!) może być przyczyną tej odmiany na szaro; ale i to prawda, że dawniej jakoś cieplej było w sercu, że było więcej w duszy prostoty, a więcej wzajemnej życzliwej miłości, a mniej fochów i mniej wymysłów — więc dużo pokoju i przyrodzonej wesołości w charakterach: — wszakże nie rzadko starzy umierali z facecyą na ustach. Więc też każdy całego siebie oddawał ochotnej zabawie; ale bo też muzyka była mniej zagmatwaną, mniej sztuczną, a krom muzyki świeckiej i światowej, żyła po domach po rodzinach, jakby anioł stróż, muzyka nabożna, którą śpiewała matka z dziećmi, dziadek z wnukami. Prosta to była muzyka i nieuczna, a jednak przejmowała duszę do dna, poruszając najzacniejszą jej treść!

„To staroświeczczyzna!“ zawołacie. Być może, lecz ja myślę, że w tej staroświeczczyznie, obok pobożności, tkwi instynktowa mądrość, a mądrość, nad którę żadna metafizyka głębszej już nie wymyśli. Mniemam, że się z tego wytłómaczę. *(Dokończenie nastąpi.)*

SKARGA DZIECINY.

(z czeskiego).

Siedzi w progu dziecina,
Z książeczką sobie siedzi,
Lecz, co czytać zaczyna,
To przestanie, to biedzi...

Zeszedł anioł k'niej z nieba,
Skinął palcem miłości,
Ucz się dziecię, bo trzeba
Znać ci zakon świętości.

A dziecinie łza cicha
Z oczka na książkę padła —
W oczku jasność pobladła,
Serduszko czyste wzdycha...

Uczyłbym się ja pilnie
Aniołeczku mój złoty!
Jeno ty mi nie mylnie
Wyłóż boże przymioty.

Bo w tej książce to stoi
Nie tak, jak mię uczyła
Moja mateńka miła;
Ach! aż dusza się boi.

Proś Ty Boga miłości,
By się jakoś zlitował,
I dla mojej zbożności
Książkę czeską darował.

Aniołek do dzieciny
Z swej miłości, z swej świętej,
Rzekł: „Boże niepojęty!
Odpuść, odpuść ich winy!“

Pożegnał się z nim szczerze
Krzyżyk kładąc na czole,
A książeczkę mu bierze,
Lepszą wróżąc mu dolę.

Chłopaczek się radował
Zmówił szczerze: Ojcze nasz!
O Tyś się ulitował,
Ojczysty język nam dasz!

J. K. Turski.

KONKURY Z NUDÓW.

(Szkic z życia).

(Ciąg dalszy).

Ksawery już więc od owej pierwszej wizyty bywał częstym gościem u pani Leonowej, — wyznać jednak musimy, że zawsze z pewnym przymusem, z wyperswadowaniem sobie potrzeby ożenienia się, z namowy kochającej go matki, ale nie z poznania i upragnienia prawdziwego kiedyś szczęścia w małżeństwie. Gniewało go, że, chociaż jak mu się zdawało doskonale znał kobiety, z Zosią niemógł nigdy swobodnie prowadzić rozmowy, bo albo jej dla braku wiadomości ustępować musiał, albo natrafiał zawsze na coś, czego dotychczas nawet nieprzypuszczał, a co mu odbierało ową pewność i fantazyę, jak ją nazywał, kawalerską. Tem coś było wysokie uczucie i zdrowy a głęboki sąd o wszystkiem Zosi, któremi zawsze prowadzona niemogła zejść do owego błahego dyskursu, będącego polem szczycenia się modnych salonowców i naszego Ksawerego. Ksawery zaczynał często rozmowy o znużeniu, o prze-

sycie życia, o nieszczęściu i czczości jakiej ztąd doznaje; spodziewał się pocieszenia jakiegoś romansowego, litosnego współubolewania, gdy tymczasem spotkał się z surowem wejrzeniem Zosi, i z taką sentencyą o obowiązkach młodego, człowieka, o powinności i możności podniesienia wysoko tego żywota ziemskiego, że choć w duszy nazywał ją nieznośną pedantką, nigdy jednak niemógł zdobyć się na słowo odpowiedzi lub szyderskiego żartu. Czuł więc, że Zosia nie dla niego, chociaż jeszcze miał przekonanie, że ona kramarzy swem oczytaniem i zasadami, lecz że on, jako mężczyzna katexochen, a jako on w szczególności, nieskończenie wyżej ponad nią stoi. Słabego jednak charakteru, a nadewszystko leniwy, nałogowy, raz się do jeżdżenia tam przyzwyczaiwszy, jeździł pomimo woli. Ludziom podobnego charakteru trzeba się dać równie przyzwyczaić do czegoś dobrego, to choć nie z poczucia ale z przyzwyczajenia czynić będą dobrze, — znałem takiego, co dawał częste i hojne jałmużny, lecz jak sam mówił dla tego, że go matka przyzwyczaiła, ale nie ze zrozumienia celu i potrzeby.

Raz jednak, gdy jeszcze w domu u siebie spał snem Cesarza Tytusa, co dnia swego niestracił, przebudził go gwałtownie mały jego dżokej, marszalek zarazem i intendent Jasiek. Ofuknął się zrazu srodze na niego a nawet sięgnął prawicą po wiszące nad wspaniałą kotarą narzędzie, ale przezorny Jasiek, cofnąwszy się tylko trochę, dwa palce do ust przytulił, co tak zaimponowało Ksaweremu, że z cicha zaraz zapytał: — Znów te bestye? — Tak proszę jaśnie panie, Szmul-Goldbein i Majerek. — Czemużeś niepowiedział, że mnie niema?— Kiedy jaśnie panie! oni się wprzód już dobrze wywiedzieli. „Idź do djabła!" — „Dobrze jaśnie panie, a oni?" — „Niech zresztą wejdą, co mnie tam..." Jasiek wprowadził poważnych kapitalistów. Niewiemy szczegółów, tyle tylko powiemy że Ksawcio zamknął się z niemi, że długo słychać było klątwy, prośby i groźby, ze nareszcie przyniesiono gdańskiej wódki, przekąsek, i że Ksawcio, wycałowawszy ich po brodach serdecznie i po bratersku, wyprowadził aż za drzwi, a po ich odjeździe głosem tubalno-piorunującym kazał zaprzęgać i jechać do p. Leonowej. W drodze namarszczył się jak lew, któremu odbierają lwicę, a raczej jak dłużnik, którego do kozy wsadzają, dał w kark dwa razy woźnicy, a nawet nietykalnemu dotychczas Jaśkowi rzekł: oszuście! ja cię wypędzę! W tym usposobieniu wszedł do salonu, gdzie pani Leonowa, jak zawsze uprzejma i nerwowa, pociągnęła go do swego pokoiku, pokazując mu dwie pasty na zęby, cztery słoiki pomady, i pięć flakoników wody higienicznej na wzmocnienie. Ksawery dał się obracać na wszystkie strony, słuchał wszystkiego, ale na nic nie odpowiadał, co nareszcie zdziwiło samą panią Leonowę, bo rzekła: „cóż pan dziś taki kwaśny?" — „Ba! Pani Dobrodziejko, człowiek ma tyle na głowie, że prawdziwie inny życie by sobie odebrał." *„Ah mon Dieu!"* krzyknęła pani Leonowa, „cóż, cóż, gadajże? usiadła pani Leonowa, usiadł i pan Ksawery, i słodkim głosem oświadczył, że kocha pannę Zofią, że ją szanuje, że prosi o jej rękę, że ją uszczęśliwi ile jego możności i t. p. — p. Leonowa trochę zdziwiona, rzekła: „i owszem, i owszem — będziesz miał zdrową żonę, nie taką jak ja spazmatyczną, ale idź do niej, bo to właściwie od niej zależy". Zkonfundowany trochę Ksawcio, bo myślał, że tu jedyna i najwyższa instancya, posunął się jednak do ogrodu, gdzie się znajdować miała Zosia. Poprawił wąsika, dziś jak nazłość prawie niepoznacznego, poprawił fryzury, kołnierzyków angielskich, nacisnął rękawiczki lepiej na rękę, i poszedł, pomimo jakichś malutkich, dotąd mu nieznanych przeczuć, prosić kobietę na towarzyszkę całego życia, śmiało i z tą pewną obojętnością, jakby szedł na ostrygi nie świeże i na kwaśne wino. Wszedłszy do ciemnego szpaleru zobaczył na końcu tegoż siedzącą na ławeczce i czytającą książkę. Podszedł więc prędzej, a stanąwszy tuż przed nią, uchylił eleganckо czapeczki, podał po angielsku rękę, i szepnął z akcentem *„Bon jour"*. — „A, niespodziewałam się dziś pana!" — „Więc przeszkadzam?" zapytał z urazą. — „Ah! jakże się pan zaraz obrażasz, — dziwna rzecz, jaka dziś młodzież obrażliwa, pomimo że sama bardzo łatwo umie obrażać drugich." — „To wiek, panno Zofio", odrzekł pewny wrażenia Ksawery. — „Wiek? — a co to pan mówi, a więc zbrodnie, występki, lub głupstwa można śmiało popełniać na karb wieku?" — „Nie to chciałem powiedzieć... (w duszy klął wszystkie poważne dysputy), zresztą zupełnie z czem innem przyszedłem, panno Zofio... ja chciałbym dziś z nią o wielu a ważnych rzeczach pomówić". — „A więc proszę siadać i mówmy, ot tu — proszę bliżej na tej ławeczce, jestem nawet dzisiaj poważnie nastrojona." — „Ot, to to! westchnął Ksawery, że pani niestety zanadto jest i zaczęsto poważnie nastrojoną." — „Więc to źle?" — „Źle niepowiem, ale wszak pani wiadomo, że my mężczyźni tak się boimy poważnych kobiet." — „A to dla tego, żeście się teraz zrobili lekkimi, a nie chcecie nam przyznać jakiejkolwiek wyższości." — „Kiedy nie to... znów westchnął Ksawery, w duszy myśląc: ani końca z tą kobietą — z której beczki zaczniesz, zawsze wpadniesz na morał, lub naukę. — „Proszę zacząć" rzekła Zosia z uśmiechem. To króciutkie słówko jakoś Ksaweremu szyki pomięszało; jak tu zacząć? myślał — a to nieznośna dziewczyna, jakie ma dziwne maniery. Chrząknął, otworzył usta i znów zmięszany zamilkł. Zosia wbrew swemu zwyczajowi głośno się rozśmiała, zawoławszy: „Trochę pan dziś śmieszny." — „Śmieszny? zerwał się jak tygrys zraniony nasz bohater, — ja śmieszny?... ależ pani się zapewne myli..." — "Myli, dla czego?" — Tyle komiczności widziała w tym zapytaniu Ksawerego, że, dłużej powstrzymać się nie mogąc, pełną piersią śmiać się poczęła. Lecz tu zebrał on całą energią, on, który tyle razy walczył na polach świetnych salonów, licznych assamblów najmodniejszych kolegów, kawiarń, balów itp.; on, któremu nieraz powiedziano, że jest próżniakiem, ladaco, szulerem i birbantem, ale któremu nikt nigdy zarzucić niemógł tej plamy, że był śmiesznym; on dzisiaj usłyszał to druzgocące go słowo od kobiety, i to od kobiety, którą myślał pojąć za żonę. „Nie, nigdy! ona nie dla mnie!" — Tem silnem a nagłem postanowieniem uzbrojony, rzekł oschle: „Miałem pani wyjawić rzecz ważną, ale teraz, śmieszny w jej oczach, niemogę nic więcej zrobić, jak tylko pożegnać i czekać przyjaźniejszego widzenia." Rzekł, i prawie z kopyta choć piechotą wpadł do salonu pani Leonowej, rzekł: *au revoir Madame*, siadł do powozu, pociągnął za ucho niedość śpiesznie biegnącego Jaśka i krzyknął: „Jazda!" Niepojechał jednakże do domu, ale wstąpił do swojej ciotki.

Ciotka jego, pani Smutnicka, miała lat 50. Jej historya krótka, jak każdej w zaciszu skromnie żyjącej osoby, chociaż treść jej zostawiła ślad długi nieszczęścia za sobą, bo aż do grobowej deski. W 16tym roku życia poszła za mąż z wielkiego prawdziwego przywiązania, a w 2 lata potem została wdową, sierotą bez najdroższego towarzysza, i bez kochających rodziców. Młoda, ładna, posiadająca własny choć niewielki majątek, miała wkrótce licznych konkurentów, ale nie zamężcie było jej w myśli, zawarła śluby raz i na całe życie. Jej przywiązanie do kochanego męża było silną tarczą przeciw świetnym pokusom, a na tej tarczy mo-

gły się tylko zebrać święte łzy tęsknoty. Potrzebując kogoś kochać, wybrała sobie sierotę, córkę swego dawnego ekonoma, i tę chowając skromnie, religijnie a zarazem ile sił kształcąc ją umysłowo nazwała swą córką. Siostra jej, matka Ksawerego, najprzód nie była jej rodzoną siostrą, a potem nie była dla niej pobłażającą. Dla widoków bowiem lepszego zamężcia odradzała nieboszczyka męża, a to już było największą przyczyną dla niej, aby ostygnąć dla każdego w uczuciu. Z sercem jednak swojem musiała i miłość familijną przenieść na kogoś, a więc przeniosła ją na Ksawerego, zwłaszcza wtedy, gdy był jeszcze małym, żywym a sympatycznem dziecięciem. Wtedy go też wzięła była na jakiś czas do siebie, i chowała razem z malutką Wandą, do której się chłopiec serdecznie przywiązał. To przywiązanie uważane przez starszą kochającą osobę, chociaż objawiające się w dziecinnym prawie wieku, dało jej jednak jakieś błogie nadzieje przyszłego połączenia dwojga istot, które nad wszystko kochała. Gdy jednak Ksawery pojechał do szkół, tam wkrótce zyskawszy ową złowieszczą popularność nabawiającą matkę jego takim niepokojem, ciotka, przelękniona o niego, wzięła go znowu do siebie i długo, długo przemawiała do jego duszy, a nawet w nagrodę poprawy obiecywała rękę Wandzi ośmnastoletniemu chłopcu. Może to było i nieroztropnie, ale ona myślała, że miłość zdolna wszystko i w każdym uleczyć. Potem, gdy Ksawery szkoły ukończył, i został owym samowładzcą w swojem dziedzicznem terrytoryum, ową podporą kraju, mającą być potężną swojem stanowiskiem i tradycyą, już i życie na większą skalę prowadził i na większą skalę je brudził. To życie jego odtąd bez celu, z dnia na dzień, gorączkowe, boleśnie oddziałało na ciotkę i pomimo że czuła litość i przywiązanie, uczuwała jednak często doń jakiś wstręt moralny. Ksawery zaś, gdy w chwilach nudy, przesytu lub nieprzyjemnych zawodów nawet od matki uciekał, spieszył do ciotki, u której zawsze znachodził i dobrą radę i pobłażliwe serce, a nadewszystko chrzest oczyszczenia, niby krynicę świętej wody, niezmąconą żadnym zanadto ziemskim pyłem.

Po swoim więc odjeździe od pani Leonowej zajechał do ciotki. Ta, spojrzawszy tylko na jego twarz bledszą niż zwykle, na nieporządnie rozrzucone włosy, i o zgrozo! na pomięty angielski kołnierzyk, poznała że coś zaszło niezwykłego. Podała mu więc cicho rękę, której Ksawery ledwo ustami się dotknął, a usadowiwszy go koło siebie na fotelu, i położywszy białą swą rękę na jego głowie, rzekła: „Mówże Ksawerciu co ci jest? takiś blady!“ — „Wierzę cioci, żem blady — i nie chodzi mi o odkosza Zosi, chociaż właściwie ja jej go dałem, bo ona mi tylko powiedziała, żem śmieszny, ale...“ — „Jakto jużby się wszystko skończyło? — co za szkoda mój Boże, taka zacna i rozumna panienka!“ — „Co też ciotka mówi, rozumna, dziękuję ja za taki rozum, co tylko się dmie jakąś Bóg wie, jak nabytą, uczonością, — mnie trzeba gospodyni, a potem ona dla mnie za mądra.“ — „No, ale jakże to było?“ Ksawery opowiedział dość rzetelnie, mięszając tylko często lekceważące wykrzykniki. — „A potem moja ciotko, mnie głównie teraz o to chodzi, że ten szelma Majerek ciągle mi łeb suszy, a za jedyny ratunek podaje dobre ożenienie.“ — „A poco żeś mu się dał tak wziąść w kluby?“ — „Po co, po co, — cioci się tak zdaje, człowiek co żyje w świecie, nie może się wyłamywać...“ — „Ze szponów wierzycieli... o źle, źle moje dziecko, nie dość że tracisz majątek, zdrowie; ale jeszcze spekulujesz na to, co całej przyszłości twojej i pokoleń podstawą być powinno.“ — „Ah Boże! — to samo słyszę po 1000 razy od matki, przyjechałem po radę do cioci, nie po morały“. — „Dobrze więc dam ci ją“ — rzekła zimno i poważnie pani Smutnicka, ale wprzódy powiedz mi, czego szukasz, czy tylko pieniędzy, czy kobiety, którąbyś mógł za dane szczęście ciągle błogosławić? — jeżeli szukasz li tylko pierwszego, to się nie radź mnie, jedź gdzieindziej na targ i chwal swoj towar“ — „A jeżeli szukam drugiej?“ — „Jeżeli szukasz drugiej, to bierz Wandzię.“ Ksawery aż syknął, zerwał się na równe nogi. — „Ależ Cjociu to nie dla mnie partya, to sobie zbyt naiwna dzieweczka, a mnie trzeba... trzeba panny, któraby załatawszy wszystkie moje niepokoje dała mi zarazem komfort, bez którego żyć mi już trudno... to darmo cjociu, ja temu nie winien.“ — „Więc jedź z Bogiem, szkoda moich rad i życzeń — dokończyła westchnieniem. Ksawery milcząco pocałował jej rękę i szybko wybiegł.

Po jego odjeździe dwie wielkie łzy spłynęły pani Smutnickiej po licu, łzy skarżące teraźniejszość, bolejące nad przyszłością. Ksawery jednak wcale tak smutnie nie myślał — jemu się tylko nienaturalną wydawała ta jakaś groza ciotki, którą dotychczas za bardzo rozsądną uważał. „Malera - krzyknął — tu odkosz, tam kwasy, tu długi, tam koza!“

„Jazda do miasta! — krzyknął na furmana, a konie ruszyły w galopie.

(D. c. n.).

LIST

Księdza Wojciecha z M,.....

Zarzucacie nieraz szanowne panie! nam, że nie warto nic dobrego robić dla chłopów, bo oni nie są wdzięcznemi. Na zbicie zarzutu macie obrazek z zycia włościańskiego, za którego prawdę ręczę.

Jako ksiądz na wsi, śród błota mieszkający, zmuszony byłem chodzić na około kościołka popod lipami. Raz i drugi i trzeci widziałem, jak rolnik z swoją żoną przychodził pod drzwi wielkie kościoła, i to po dwa lub trzy razy dziennie, i modlił się tam dość długo. Myślałem, coby to być mogło? i raz zaszedłem mu drogę, pytając:

Musicie mieć jakieś zmartwienie wielkie?

On. Mój Jegomość! bez zmartwienia trudno żyć na świecie, bo Pan Jezus zsyła krzyżyki na winnych i niewinnych. Człowiek biedny nie potrafi odpłacić się Bogu i dobrym ludziom tak, jakby chciał. — P. Jezus ma ci bogactwa, on nie żąda pieniędzy, ani chleba dla siebie od nas grzesznych, on chce, abyśmy ten chlebuś i grosz na dobre obrócili, i biednym dopomogli. Nam chudakom dał P. Jezus choć jaką taką mowę, abyśmy się często modlili, dał nam oczy, abyśmy choć popłakali za dobrodziejów naszych i patrzali na to niebo, aby się tam dostali ci, którzy w biedzie biednego poratują, dał nam i te ręce do ciężkiej pracy, ale i na to, abyśmy po pracy podnieśli je do ukrzyżowanego Pana Jezusa, prosząc o błogosławieństwo dla nas biednych i grzesznych ludzi.

Na taką przedmowę chłopską rozrzewniłem się do głębi mej duszy, i chociaż mężczyzna, ukryłem łzę moją pytając go: A więc o cóż wy to prosicie teraz tak często tu pod kościołem miłosiernego P. Jezusa?

On. Jegomość! nie wolno nam mówić, że ludzie sami coś dobrego robią, bo to wszystko ręka boska i miłosierdzie P. Jezusa robi! Ot zachorowałem bardzo, moja baba zapłakana pobiegła do księdza, aby się przygotować na sąd pański — już byłem gotowy do grobu, bo

od śmierci nikt się nie uratuje! Ale mamy we dworze bardzo dobre państwo! w tym dworze teraz mieszkają Anieli, Boże odpuść mi! jeżeli grzesznego człowieka przyrównałem do świętego Anioła! Ledwo tam zaszła moja babina, a zaraz sama pani wybiegła, wysłuchała gadania, otarła łzy jej i posłała po lekarza raz i drugi, dała pijawki, jakieś słodkie leki, wizykatoryę i cukru, i Bóg tam już wie najświętszy! co tam babina moja w podołku przyniosła — i ja wstałem i chodzę znowu.

Na tę mowę chłopską tak rzewną i tak pełną wiary pytałem potem: „A byliście też teraz podziękować waszej tak dobrej pani za to wszystko?

On. Mój Jegomość! czy tam biedny człek ma na tyle rozumu, aby umiał wygadać swoją skruchę i chęci — albo czy ma tyle majątku, aby to oddać naszej pani? Byłem tam sam, ale ja tam gadać nieumiem dobrze i wiele — więcej płakałem, niż gadałem, i dziś także jeszcze płaczę, gdy sobie wspomnę, co tam za niesłychanie dobra ta osoba!

Poczciwy ten rolnik ocierał sobie kaftanem łzy swoje — pewnie najszczersze! a jego babina aż się zanosiła od płaczu, i ciągle do nieba oczy podnosiła i wzdychała mówiąc: O Panie Jezusie!

Na tę scenę i ja uroniłem łzę cichą, boć jako ksiądz nie jestem głazem, i wolę płakać z płaczącemi, niż stać z suchem okiem. Ale zapytałem, a cóż wam też ta pani gadała, jakeście tam byli dziękować?

On. Mój Jegomość! jeszcze gadała na mnie, dla czego moja babina nie przychodziła codzień po rosół dla mnie, dla czego nie przyszła po kaszę? — dla czegom nie przysłał do dworu dziecka, aby powiedziało, czy mi co lepiej? czy mi nie gorzej? i jeszcze mi kazała i teraz przysyłać garneczek po jakieś tam jedzenie. A za te pijawki i lekarstwa ani grosza nie chciała wziąć. Co to za osobliwa osoba!

I znowu zaczął po swojemu płakać i wrócił pode drzwi kościelne, i kléknął, i schylił się czołem do ziemi, i całował próg kościoła i wołał z płaczem: O Panie Jezusie miłosierny pobłogosław, pobłogosław!

Ja, nie mogąc dłużej bez rozrzewnienia patrzyć na to serce włościańskie proste! ale jakie zacne i piękne! na te łzy włościańskie, ale jakie cenne i święte! Odszedłem i zacząłem znowu chodzić sam, zapłakany jak dziecko — a on znowu mię zaczepił, mówiąc:

Mój Jegomość! powiedzcie mi, coby to można kupić, aby zanieść tej pani? kupiłbym jej bułek w mieście, albo orzechów, ale niewiem, czyliby wzięła? bo ona nic brać nie chce od człowieka, a jeżli co weźmie, to zaraz coś innego wepchnie ci w kieszeń. Ja wiem, że im dał P. Jezus więcej od nas, ale też oni nie żałują dla biednych i chorych. Ja każę codzień rano i wieczór mówić pacierz święty moim dzieciom za nich i za ich dzieci — a sam z moją babiną idę tu pod kościoł płakać na tem miejscu, kędy ta pani idzie do kościoła; idę całować tę ziemię, kędy ta pani chodzi; idę prosić tego Pana Jezusa, koło którego ona przechodzi; idę tu, bo myślę i wierzę, że mię tu prędzej pan Jezus wysłucha, niż w domu moim. Cóż ja biedny mogę jej dać?

Na takie słowa, z których niejeden może brać naukę dla siebie, ja zwyciężony odezwałem się:

Mój człowiecze! Dobrze robisz, że się modlisz do Boga za pana i panią! Dobra pani we dworze, to tyle, czem był i P. Jezus na puszczy dla tych zgłodniałych, on ich nakarmił i zostało jeszcze 12 koszy chleba; czem był P. Jezus dla chorych i smutnych prostaczków! Módl się szczerze, kiedy inaczej nie możesz być wdzięcznym; takie modlitwy, jak ta twoja, zajdą prosto do nieba i uproszą dla pani zdrowie i błogosławieństwo jej dzieciom! Twoje łzy są milsze Bogu, niż obce ogniste słowa! Takie serce jak twoje, to największy majątek!

I odszedł rolnik, szedł zapłakany z odkrytą głową, żegnał się często, podnosił głowę ku niebu i znikł mi z oczu. Czyż to nie jest włościańska wdzięczność? czyście panie odebrały kiedy coś podobnego w salonach waszych od równych wam? Róbcie podobnie, jak ta pani, którą ów rolnik nazywał Uliną t. j. Heleną, a i wy zobaczycie podobne sceny rzewne.

WIADOMOŚCI
Z HISTORYI NATURALNEJ,
z poglądem
na użytek gospodarski.

Dosyć znaczną liczbę, tak naturalnych jako i fabrycznych produktów, naliczyćby można, które częstokroć do zwykłych potrzeb i pospolitych celów używane, a przecież nie każdemu co do pochodzenia znajome. Ztąd można czasem prawdziwie bajecznych nasłuchać się opisów osnowy tego lub owego fabrykatu, a nawet czasem i surowego płodu. Ileż to bowiem słyszyć można dziwacznych zdań o sposobie wyrobu i osnowie stearyny, gumyelastyki, farby purpurowej, kawioru, cukru, (dla używanych kości zwierzęcych do czyszczenia tegoż) etc. etc. — Dla tego mniemam, że nie od rzeczy będzie, choć nie koniecznie dla nauczania, to przynajmniej dla odświeżenia w pamięci źródeł przemysłowego ruchu — przegradzać treściwie zebranemi technologicznemi ustępami opis najużyteczniejszych przedmiotów z trzech królestw natury wyjętych. — Zacznijmy przeto naprzód od zwierząt, potem przejdziemy do roślin, a nakoniec do płodów kopalnych.

Trudno pisać o rzeczach nikomu nieznanych. Że przecież każdemu niemoże być wszystko znane, więc ze wszystkiego każdy wie cośkolwiek czyli inaczej wyrażiwszy się: ten wie to, a tamten owo. Sądząc że i z tego co w dziale z nauk przyrodzonych w niniejszem piśmie wspominane bywa — wielu wie wszystko, to się przecie znajdą tacy, co sobie albo zapomniane przypomną, lub źle zrozumiane, albo błędnie posłyszane uproszczą, lub też nakoniec może w kategorycznym ustępie swej wiedzy jakiś niedostatek skompletują. Tak więc rozumując, ufny, że się choć w zwyż wyrażonym względzie moje pisanie przydać może, zaczynam znów z innej beczki, a mianowicie zamyślam wymienić z znanych trzech królestw natury te najważniejsze płody, które nam najpospoliciej w praktycznem życiu do zaspokojenia potrzeb, lub do uprzyjemnienia bytu wprost lub po przerobieniu stósownem służą, albo są szkodliwe.

Oddział zwierząt.

Z rodzaju *małp* oprócz futra niewiele by więcej było pożytku; chyba tylko, że wyuczone dają się do niektórych używać celów, osobliwie zaś do rozrywki, jaką przez swoje oryginalne miny i do człowieka podobną postać sprawiają. Można je nawet używać do sprawowania niektórych posług, jako to: do noszenia wody, drzewa, czyszczenia sukni itp., dadzą się łatwo nauczyć sztuk akrobatycznych (linoskocznych) itd. Jednak z drugiej strony są dla swej namiętnej złośliwości niebezpieczne. Zamieszkując wyłącznie okolice międzyzwrotnikowe są nader szkodliwemi dla tamtejszych mieszkańców z tego względu, że w napadach na ogrodowe owoce gromadnie się trzymają, a przytem nadzwyczaj przebiegle sobie postępują.

Nietoperz pospolity, szkodliwy, bo zjada słoninę, mięso, łój, ser i t. p. na strychach; lecz za to niszczy wiele uciążliwych insektów. Największy z nietoperzów, tak zwany pies latający, który na Isle de France, Bourbon i na Molukkach żyje, ma dostarczać za prawdziwą łakoć służącego mięsa.

Drapieżne zwierzęta najwięcej dostarczają nam runa na kożuchy, rękawki i czapki, jako to: kuny, tchórze, łaski (łasice), gronostaje, sobole, wydry, niedźwiedzie, wilki, lisy, zbiki, rysie, pantery, tygrysy, lamparty i t. d.

Z pomiędzy nich następujące zasługują z innych względów na wzmiankę:

Jeż zjada oprócz owoców ślimaki, myszy, karakony i inne robactwo, a nawet kantarydy bez uszkodzenia zdrowia pożerać może. Organizm tego zwierzęcia bardzo wytrzymały na trucizny. *(C. d. n.)*

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk., Antoni Rother.